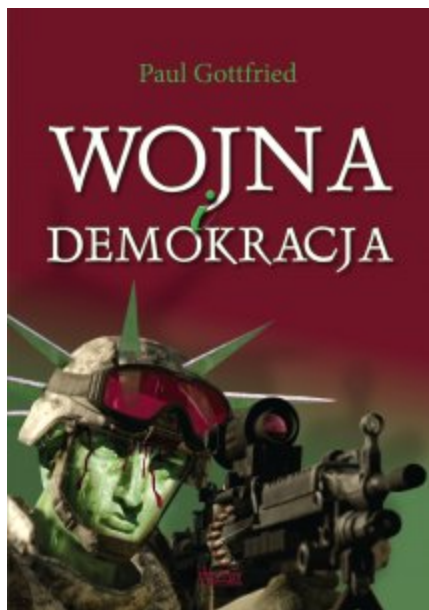


Wojna i demokracja - Paul Gottfried

Mniemanie, iż wszystkie narody muszą być wciągnięte – chętnie bądź nie – do demokratycznej owczarni, stanowi zachętę do wojny. Pogląd, że tylko demokracje takie jak nasza mogą mieć pokojowe zamiary, jest tym, co Edmund Burke nazwał ‘zbrojną doktryną’ (...) Traktowanie dążenia do pokoju poprzez światową konwersję na demokrację, jako pokojowe przedsięwzięcie jest czymś absurdalnym. Stanowi ledwo ukrytą adaptację komunistycznego celu niesienia światu harmonii poprzez socjalistyczną rewolucję.



Mniemanie, iż wszystkie narody muszą być

wciągnięte – chętnie bądź nie – do demokratycznej owczarni, stanowi zachętę do wojny. Pogląd, że tylko demokracje takie jak nasza mogą mieć pokojowe zamiary, jest tym, co Edmund Burke nazwał ‘zbrojną doktryną’ (...) Traktowanie dążenia do pokoju poprzez światową

konwersję na demokrację, jako pokojowe przedsięwzięcie jest czymś absurdalnym. Stanowi ledwo ukrytą adaptację komunistycznego celu niesienia światu harmonii poprzez socjalistyczną rewolucję.

Paul Gottfried

Wojna i demokracja

rok wydania: 2014

Wydawnictwo Wektory

Błędne jest hipoteza, że skoro republikanie kierują się pragnieniem przekształcania tych, którzy nie są do nas podobni ani politycznie, ani kulturowo, to ich demokratyczni opozycjoniści wyznają w tym względzie radykalnie inne poglądy. Obie partie krajowe, a nawet dwa czasopisma rzekomo przeciwstawne światopoglądowo, czyli „National Review” i „The New Republic”, posługują się tą samą wilsonowską retoryką i obie strony politycznego centrum patrzą na obce kraje, jako podatny grunt dla naszych postępowych ideałów. Obie

posługują się językiem praw człowieka i obie wierzą, że Stany Zjednoczone, jeśli mają pozostać sobą, muszą traktować eksport swoich wartości, jako priorytet w polityce zagranicznej.

Co więcej, wartości, do których eksportu jesteśmy zachęceni, są istotną częścią procesu demokratycznej ewolucji społeczeństw XX wieku, ze szczególnym naciskiem kładzionym na traktowanie kobiet, mniejszości i na pewien zachłanny indywidualizm utożsamiany z otwartymi rynkami i mieszaną gospodarką.

Centrolewica i centroprawica różnią się jedynie, co do wielkości wysiłku, jaki musi być włożony w globalną misję demokratyczną, i co do sposobu realizacji tych idealistycznych celów – jednostronnie, bądź we współpracy z innymi. Historyk John Ehrmann w książce *The Rise of the Neoconservatives* czyni pewną wymowną obserwację, że podczas prezydentury Clintona, architekci naszej obecnej republikańskiej polityki zagranicznej byli ogólnie zaniepokojeni brakiem stanowczości w sposobie, w jaki prezydent prowadził sprawy międzynarodowe. Ci sami krytycy byli za to zadowoleni z tego, że Clinton i krąg jego doradców podnosili sztandar demokratycznych ideałów na arenie publicznej. I raczej nie sprzeciwiali się, gdy Clinton w 1999 roku, w czysto wilsonowski sposób uzasadniał bombardowanie wojsk serbskich w Kosowie. To posunięcie było usprawiedliwiane, jako wyraz naszego zaangażowania na rzecz praw człowieka i utworzenia pluralistycznego społeczeństwa w Kosowie.

Oczywiście, mniemanie, charakterystyczne dla Clintona i George'a W. Busha, że cały rodzaj ludzki łącznie amerykańskiej demokracji w jej obecnej formie, nie ma żadnego uzasadnienia. Nie mniej jednak ci,

którzy utrzymują ten pogląd mają pewną przewagę nad swoimi przeciwnikami. Należą do rad i zarządów wpływowych magazynów i prestiżowych waszyngtońskich instytucji. Ich poglądy i uprzedzenia mają większą szansę przebicia się, jako propozycje programowe, niż tych, którzy są trzymani z dala od debaty publicznej. Ponadto, sposób, w jaki uczy się obecnie amerykańskiej historii w szkolnictwie publicznym i mediach apoteozuje silne i rozbudowane rządy egzekutywy. Prezydenci, których pedagogzy, popularni historycy i dziennikarze umieszczają w panteonie, połączyli silny nadzór gospodarczy z wielkimi krucjatami wojskowymi na rzecz globalistycznych, egalitarnych ideałów.

Podczas, gdy ten precedens z pewnością nie pomógł w odwracaniu krytycznej uwagi od antyterrorystycznej krucjaty Busha w Iraku na rzecz sekularyzacji i praw kobiet, należy przyjrzeć się pewnym istotnym czynnikom odpowiadającym za niską popularność prezydenta, szczególnie na lewicy. Jest republikaninem, a więc reprezentantem partii postrzeganej jako prawicowa, pełnej ewangelików i innych niepożądanych ludzi, którymi poprawni liberalni intelektualiści muszą gardzić. Sama wojna w Iraku również jest wielką sprawą dla zdeklarowanych wrogów demokratów, potępianych w republikańskiej telewizji „FOX” jako „niepatriotyczna lewica”.

Ale te retoryczne wybuchy należy uznać za to, czym one de facto są: wyrazami ciasnego partyjniactwa. Same w sobie nie dowodzą, że jedyną drogą zgodną z myśleniem demokratów jest wstydlive, obwiniające Amerykę wycofywanie się z areny międzynarodowej. Ani, że centrolewica koniecznie postrzega wojny na rzecz szerzenia demokracji, jako niezgodne z własnymi tradycjami. Energiczni prezydenci, którzy pokonywali wszelkie przeciwności na drodze do

prowadzenia krucjat przeciwko reakcyjnym siłom w kraju i poza jego granicami, zdobią hagiografię partii demokratycznej. W tym względzie, choć w żadnym innym, zgadzam się z senatorem Joe Liebermanem i redakcją „The New Republic”, gdy przypominają nam historię własnej partii. Partia, która nadal wychwala Wilsona, Roosevelta, Kennedy’ego i Trumana jako swoich najlepszych prezydentów, nie stanie się nagle miejscem trwałego oparcia dla antyinterwencjonistów. Potencjalna prezydentura Obamy być może będzie mniej skłonna do międzynarodowych krucjat niż prezydentura Busha, ale tylko, dlatego, że będzie bardziej przejęta feministyczną lub mniejszościową polityką i redystrybucją dochodów. To jednak, co innego, niż mówienie, że demokraci nie akceptują religii globalnej demokracji. Demokratów cechuje ten sam odruch, co republikanów, gdy idzie o przekształcanie innych społeczności na nasz wzór, wystarczy rzucić okiem na przemówienia Billa Clintona i Madeleine Albright, czy jak wyraźnie pokazuje to ich kosowski epizod.

Ci, którzy są zwolennikami liberalnej polityki międzynarodowej, złatali razem argumenty i twierdzenia, które kwitną w dyskursie publicznym. Choć większość z nich opiera się na przesadzie i błędnych historycznych porównaniach, owe opinie zyskały na popularności dzięki ich cyrkulacji w czasopiśmie, mediach i wśród klasy politycznej.

Po pierwsze, utrzymują one, że niemoralne lub niekonsekwentne jest twierdzenie, iż demokracja jest czymś dobrym wyłącznie dla własnego społeczeństwa i niepodjęcie próby obdarzenia jej dobrodziejstwami wszystkich innych ludzi. Widać tutaj pewne dawno zakorzenione, znajome motywy, które wciąż rezonują, szczególnie chrześcijański uniwersalizm, imperatyw kategoryczny Kanta i wyrwane

frazy z Deklaracji Niepodległości o naturalnych i przypuszczalnie rozszerzalnych globalnie prawach. Choć razem wzięte te wątki raczej nie tworzą spójnej argumentacji, są skutecznym retorycznie wytłumaczeniem, dlaczego inni winni nam schlebiać naśladownictwem.

Ale, co powinniśmy zrobić, gdy inni nie zachwycają się naszymi dobrodziejstwami, pomimo, iż według Busha i „The Weekly Standard”, każdy człowiek na świecie łaknie naszej odmiany wolności? Niestety, nie ma przekonujących dowodów na to, że wszyscy na świecie pragną naszej demokracji i to nawet w sytuacji, gdy pakistańskie kobiety, po tym, jak zostały zgwałcone, nie chcą ponosić śmierci, jako cudzołożnice. Zwracanie uwagi na to, że niektórzy ludzie brzydzą się pewnymi lokalnymi praktykami jest czymś innym niż wykazywanie, że tradycyjne społeczeństwa są chętne do naśladowania nas politycznie i kulturowo. Twierdzenie, że większość ludzi wolałaby uniknąć cierpienia nie jest tym samym, co twierdzenie, że chcieliby inkorporować cechy naszego nowoczesnego społeczeństwa, poczynając od sekularyzmu, zatomizowanego życia społecznego, wyzwolonych spod kontroli rodziców dzieci, prawa do aborcji i ekshibicjonizmu homoseksualnego stylu życia.

Gdy idzie o naturalność tego, czego pragniemy dla innych, przypomina mi się podważenie argumentacji Johna Locke’a przez Davida Hume’a, iż społeczeństwo obywatelskie powstało z porządku natury, aby chronić uniwersalny katalog praw. W eseju O umowie założycielskiej, Hume zauważył, że forma ustroju konsensualnego, którą Locke traktował jako naturalną dla ludzkiej kondycji, nie miała nic wspólnego z powszechnym odczuciem ludzkości z praktyką i opinią wszystkich narodów i wszystkich czasów. Hume pisał: „łatwo jest wykazać, która

władza posiada rodzaj motywowanego moralnie rozumowania, które prowadzi do opinii tak szerokiej odnośnie do powszechnego postępowania ludzkości, w każdym miejscu poza tym jednym królestwem”. Choć Hume wierzył, że „w naukach spekulatywnych” pewne „odwołanie się do opinii ogółu” może być „uznane za niesprawiedliwe i nieprzekonujące”, w badaniu moralnych i kulturowych wartości nie istnieje „żadne inne kryterium, dzięki któremu można rozstrzygać o jakiegokolwiek kontrowersji”. To, co Locke uznawał za uniwersalne prawo, na przykład, „że obywatele muszą zgodzić się na bycie opodatkowanymi”, jest zapewne szlachetnym stanowiskiem dla angielskiego wiga, ale nie wydaje się być czymś, co większość ludzi uznałaby za fundament obywatelskich rządów.

To, co Hume wskazuje, jako zbyt uogólnienie, powinno mieć również zastosowanie wobec liberalnych internacjonalistów: powinni wskazać więcej przykładów tego, co uważają, że jest naturalne. Równie ważny pogląd, iż konieczne było – jak twierdzą neokonserwatyści – bombardowanie Niemców i Japończyków, a w konsekwencji cywilizacyjne cofnięcie ich z powrotem do epoki kamienia, aby dać im, jak to Allan Bloom aprobowo nazywa, doświadczenie edukacyjne, każe człowiekowi zastanowić się, dlaczego masowa destrukcja jest konieczna, aby nauczyć ludzi pragnąć tego, co powinni.

Drugi zestaw argumentów uruchomiony przez liberalnych internacjonalistów koncentruje się na twierdzeniu, że jeśli nie będziemy dążyć do zbawienia dusz dla demokracji, będziemy mieli do czynienia ze światem w permanentnym stanie wojny. Tylko demokracje, według każdego neokonserwatywnego grafomana na tej planecie, mogą być pokojowe. Doprawdy, niedemokratyczne ustroje są kompulsywnie szkodliwe, jeśli ujrzawszy światło, rozpętuja wojnę

przeciwko nosicielom demokratycznej cnoty. Ten argument ma historyczne i konceptualne wady, choć jest głoszony tak często i tak głośno przez ludzi władzy, że większość intelektualistów lekceważy jego wartość. Zazwyczaj jego rzecznicy budują manichejski schemat interpretacyjny, przebiegający wzdłuż ludzkiej historii lub przynajmniej od czasów starożytnych Ateńczyków, w którym demokratyczne i antydemokratyczne siły są, wedłu tego założenia, zawsze sobie przeciwstawiane. Ale, aż do czasów bardzo nowoczesnych, czasami ciężko przychodzi odróżnianie demokracji od niedemokracji.

Na przykład weźmy pełne niewolników Ateny pod rządami Klejstenesa, gdzie kobiety były poddane całkowitej dominacji mężczyzn i mniej niż dziesięć procent mieszkańców miało prawo wyborcze w przeciwieństwie do wojskowo-arystokratycznej Sparty, gdzie, według Arystotelesa, kobiety miały szeroką władzę finansową i istniał szeroki elektorat „równych”. Nie byłoby czymś niegodziwym przypomnienie, że „liberalna demokracja”, którą nasi internacjonałiści ubóstwiają, jest dosyć świeżym wytworem późnej, nowożytnej cywilizacji. Egalitarne nastawienie rozciągające się nawet do relacji płciowych, rola administracji publicznej, działanie tendencji laicystycznych i istnienie wielkich skupisk miejskich, wszystko to ma decydujące znaczenie dla zrozumienia tej historycznej konfiguracji. Bynajmniej nie jest to jakiś współczesny przejaw ateńskiego polis lub osiemnastowiecznej brytyjskiej polityki wigowskiej.

Pomimo potrzeby posiadania takiej perspektywy, neokonserwatywni klasycyści, jak Donald Kagan i Victor David Hanson rozlali strumienie tuszu tłumacząc jak walka między Atenami i Spartą lub „demokratycznymi” Tebami i protofaszystowską Spartą, zapowiadała pewne współczesne konfrontacje, np. między demokratyczną Unią pod

dobroczynnym przywództwem Lincolna i niewolniczą Konfederacją, albo globalnych demokratów Wilsona i Churchilla przeciwko demonicznemu Kajzerowi Wilhelmowi. Takie anachroniczne porównania zawsze wykazują się podobnym kuglarstwem, czyniąc z każdej ze stron, której pisarz nienawidzi, prekursora nazistów (zawsze ten sam argumentum ad Hitlerum) i kontrfaktualnie wykazując, że każde szlachetne zwycięstwo było krokiem ku najnowszej „ekstra” wersji amerykańskiej demokracji.

Ale sprawy stają się bardziej podejrzane, gdy zwolennicy światowego pokoju demokratycznego przedstawiają konceptualne dowody. Termin „demokracja” stosowany jest tylko do niektórych społeczeństw, w zależności od tego, które autor lubi lub nie lubi. Społeczeństwom, które w przeszłości wykazywały się pewnym stopniem rodowego podobieństwa, społecznie i nawet politycznie – Anglia, Austria i Niemcy w 1914 roku – przerysowuje się różnice typologiczne, podczas gdy te społeczeństwa, którym autor sprzyja, są określane, jako aproksymacje obecnej amerykańskiej demokracji. Również, niby przypadkiem pominięty w definiowaniu przymiotników „liberalny” i „demokratyczny” jest zupełnie nieliberalny sposób, w jakim „demokratyczne” społeczeństwa postępowały w trakcie wojny. Czy naprawdę możliwe jest wykazanie, że Niemcy i Austria bardziej brutalnie zwalczały odstępstwa podczas pierwszej wojny światowej niż administracja Wilsona, gdy zdecydowała się na włączenie Ameryki do europejskiego konfliktu? I czy decyzja Churchilla w 1914 roku, przed wystrzałem „Sierpniowych salw”, nakładająca blokadę na Niemcy – wbrew prawu międzynarodowemu – była mniejszym naruszeniem dobrych obyczajów niż niemieckie odwołanie się do konieczności reakcji, gdy naruszono neutralność

Belgii? Takie pogwałcenie belgijskiej suwerenności, a propos, było częścią brytyjskich i francuskich planów wojennych z dekady poprzedzającej Wielką Wojnę.

Najbardziej ostrym potraktowaniem tego podwójnego standardu jest artykuł *The Myth of Democratic Peace* [*Mit demokratycznego pokoju*] autorstwa Thomasa Schwartza i Kirona K. Skinnera, który pojawił się na łamach czasopisma „Orbis”. Na szczególną uwagę zasługuje w nim drobiazgowo przeprowadzona analiza deklaracji Wilsona wojny „przeciwko pruskiej dyktaturze”. Analiza prowadzi autorów do stwierdzenia, że Niemcy w 1914 roku były państwem prawa, w którym „kanclerze, którzy przegrywali głosowanie w sprawie wotum zaufania zazwyczaj ustępowali z urzędu”. Niemcy były jednym z pierwszych państw, które dały wszystkim mężczyznom prawo wyborcze, podczas gdy „Wielka Brytania nadal posiadała silną Izbę Lordów i klasowy system awansu w służbie cywilnej i siłach zbrojnych, a w południowych Stanach Zjednoczonych istniała pozbawiona praw obywatelskich i terroryzowana mniejszość rasowa – w zasadzie w Missisipi i Południowej Karolinie była to większość – i system jednopartyjny”. Ten ustęp z pewnością nie ma na celu demonizowania anglo-amerykańskiej strony konfliktu. Sugeruje jednak pewne argumenty, które druga strona mogła podnieść w swojej ripostie przeciwko tym cechom „demokracji”. Argumenty wskazujące, że zachowania strony anglo-amerykańskiej były tak samo nieliberalne jak ich wrogów. Schwartz i Skinner szczególnie umiejętnie wskazują selektywne traktowanie danych historycznych przez zwolenników twierdzenia, że „demokracje nigdy nie prowadzą przeciwko sobie wojen”. Do niedawna było niewiele, jeśli w ogóle, rządów gdziekolwiek na świecie, które kwalifikowałyby się, jako demokracje zgodnie z dzisiejszym rozumieniem tego pojęcia. Według współczesnych standardów, wszystkie ustroje były rasistowskie, seksistowskie, elitarne i

nie udzielały żadnych świadczeń społecznych – z wyjątkiem Niemiec i Austrii, państw dotujących dosyć hojne świadczenia pracownicze. W tym szerokim wachlarzu niedemokracji, które niegdyś zanieczyszczały naszą planetę, niektóre zachowywały się w sposób pokojowy, inne nie. Więc może to nie aprobata kulturowo uprzedzonych liberalnych internacjonalistów, lecz inne cechy pozwalają determinować, które systemy rządów sprzyjają pokojowi, a które nie.

Niektóre cechy nowoczesnej demokracji, szczególnie demokratyczny mesjanizm i ludowy nacjonalizm, przyczyniają się do wrzenia w międzynarodowym kotle. Pogląd, iż wszystkie narody muszą być wciągnięte – chętnie bądź nie – do demokratycznej owczarni, stanowi zachętę do wojny. Mniemanie, że tylko demokracje takie jak nasza mogą mieć pokojowe zamiary, jest tym, co Edmund Burke nazwał „zbrojną doktryną”. Ów pogląd, który Richard Gamble dobitnie ukazał w książce *The War for Righteousness*, wiązany był przez teologicznych obrońców Woodrowa Wilsona i jego „krucjaty demokratycznej” z rozszerzoną amerykańską kontrolą polityczną i boskim mandatem reformowania świata. Traktowanie dążenia do pokoju poprzez światową konwersję na demokrację, jako pokojowe przedsięwzięcie jest czymś absurdalnym. Stanowi ledwo ukrytą adaptację komunistycznego celu niesienia światu harmonii poprzez socjalistyczną rewolucję.

Tym, którzy podważają koncepcję „demokratycznego pokoju” zarzuca się moralną bezduszość. W *The Closing of the American Mind* [Zamknięty umysł] Allan Bloom dostrzega moralne defekty u tych, którzy ośmielają się mieć inne poglądy na amerykańską politykę zagraniczną. Jeden z jego najmniej lubianych myślicieli, George Kennan, besztany jest jako „relatywista” z powodu jego próby eliminacji ideologicznych namiętności z dziedziny stosunków międzynarodowych. Według,

Blooma, „gdy jako Amerykanie mówimy poważnie o naszej polityce, chodzi nam o to, że nasze zasady wolności i równości oraz prawa na nich oparte są racjonalne i wszędzie stosowalne. Druga wojna światowa była tak naprawdę edukacyjnym eksperymentem powziętym, aby zmusić tych, którzy nie akceptują tych zasad, do ich przyjęcia”. Widocznie konieczna jest dehumanizacja „antydemokracji”, naleganie na bezwarunkową kapitulację i na dewastowanie cywilnej ludności bombami rozpryskowymi i bronią atomową – „edukacyjny eksperyment”, który musiał być doprowadzony do końca.

Zapewne udałoby się nam znaleźć mniej mściwe i mniej „pedagogiczne” sposoby radzenia sobie ze sprawami bezpieczeństwa lub ze sporadyczną potrzebą usuwania destrukcyjnych tyranii. Moim modelem byłaby tutaj udana próba brytyjskich torysów z wczesnego XIX wieku uwolnienia świata od handlu niewolnikami, coś, co osiągnęli bez usiłowania przeniesienia brytyjskiej parlamentarnej monarchii do innych części globu.

Są chwile, gdy używanie siły jest konieczne, aby poradzić sobie z zagrożeniami własnego kraju, ale można to zrobić bez udziału ideologów. Tacy mąciwiele nie są szczególnie pomocni w rozwiązywaniu konfliktów i są bardziej skłonni do wprowadzenia elementu moralnego fanatyzmu w trudnych sytuacjach. Niestety, z powodu kompleksowego opanowania przez nich obu stron politycznego spektrum, jest mało prawdopodobne, że ci niedoszli edukatorzy zostaną w najbliższej przyszłości przywołani do porządku.